NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

W obronie piękności kraju.

Niedawno okazała się, wydana staraniem Towarzystwa upiększenia miasta Krakowa i okolicy, książka panny Ewy Łuskiny „pod tytułem: W obronie piękności kraju.“ Należy się spodziewać, że treść jej wielu czytelnikom przypadnie do przekonania i niejeden błąd, jaki się dziś często powtarza, przy jej pomocy, dałby się usunąć.

Stanowi ona także jeden krok naprzód w obronie piękności naszego kraju i jego malowniczości. W pracy swej zaznajamia nas autorka z tą smutną prawdą, że piękność kraju jest bardzo zagrożoną. Jeżeli oglądamy jaki budynek starożytny, wydaje on się nam piękniejszym, nie dlatego że jest starym, że ściany jego mają inny kolor, że dach ceglany przykryty mchem wieków, ale dlatego że wszystko w nim logicznie pomyślane i z konsekwencją przeprowadzone, z pewnem artystycznem poczuciem formy i linji.

O dzisiejszych naszych budowlach powiedzieć tego nie można. Miejsce pięknych i stylowych, zajmują monotonne koszary czynszowe, jakieś architektoniczne dziwolągi, zlepki rozmaitych stylów, przepełnione bardzo bogatą, ale za to szpetną i banalną dekoracją. I jeżeli taki budynek ma być gmachem wspaniałym, którym się miasto pragnie pochlubić, to tem bardziej musi on być przeładowany niesmaczną i tandetną ornamentacją z lichego gipsu, lub wapna.

I to ma się nazywać pięknem!

Gdzie się podziały nasze malownicze domy z podcieniami, wiejskie kościołki, otoczone lipami, z czworoboczną dzwonnicą, nasze dworki podmiejskie, parterowe lub jednopiętrowe, szeroko rozsiane, otoczone ogrodami. Zamki, panujące swojemi zwaliskami nad okolicą, służą obecnie jako materjał budowlany dla spekulantów, pałace przemieniono na gorzelnie i browary! Nietylko jednak po miastach widzimy to ciągłe niszczenie zabytków, ale i sama malowniczość okolic jest zagrożoną: góry, lasy i skały, drogi obsadzane topolami, wszystko to znika bez śladu.

W ślad za zniszczeniem, idzie zobojętnienie dla tego wszystkiego, co było drogiem naszym przodkom, zobojętnienie dla kraju i miejsca rodzinnego, dla tradycji.

Należałoby przypuszczać, że cywilizacja jest dobrym sprzymierzeńcem piękności kraju, i jest nim rzeczywiście, ale w teorji tylko. Rozwija wprawdzie piękno i pomnaża zastęp jego czcicieli, w praktyce jednak jest zupełnie inaczej. Rozwój nauk, sztuk, umiejętności, podnoszenie się dobrobytu, skuteczna walka z chorobami i klęskami elementarnemi sprzyja pomnażaniu ludzkości, wzrostowi miast i wsi.

Natura, ta mistrzyni życia i nauczycielka tylu pokoleń zmienia się również i sama coraz mniej znaczy w życiu ludzkości. Praktyczność zabija estetykę, a ludzkość w pogoni za zyskiem, staje się na piękno mniej wrażliwą.

I wówczas, gdy świat i okolica staje się co raz brzydszą i zatraca swoją indywidualność, swojskość i malowniczość, budzi się u szlachetniejszych jednostek zmysł estetyczny, chęć poznania i ratowania tego, co jeszcze zupełnie nie znikło z powierzchni ziemi i nie pierzchło przed warsztatem fabrycznym lub zmysłem spekulanta.

I od pewnego czasu widać pewną reakcję na tem polu. Na zachodzie, w Niemczech, Francji, Anglji, Włoszech oraz Szwajcarji, zaczynają odzywać się głosy, nawołujące do ochraniania piękna kraju i jego zabytków. Powstają liczne stowarzyszenia „Heimatschutz“, mające na celu ochronę przed zniszczeniem i rabunkową gospodarką, urządza się odczyty, a liczne broszury wykazują na przykładach z praktyki wziętych, jak i w jakim stopniu to zniszczenie postępuje...

Polska, która ma tak mało okolic wybitnych, tak mało zabytków sztuki, niszczonych przez czas, nieumiejętność i lekceważenie, potrzebuje więcej niż inne kraje tej opieki.

I jeżeli spokojnie patrzeć będziemy na to niszczenie zabytków, które mimo tylu klęsk pozostały, na to powstawanie brzydkich domów i kościołów, karczowanie lasów i równanie romantycznych skał i gór, cóż naszym pozostawimy następcom? Ojczyznę brzydką, pozbawioną wszelkich cech i odrębności.

A jak zagranica umie bronić swej malowniczości za przykład niech posłuży Norymberga, ta perła miast średniowiecznych, gdzie przybysz zdaje się być przeniesiony w dalekie i niepowrotne czasy, gdzie go urok i czar dalekich wieków otacza. Wszystko tam miłe, pełne

malowniczości, a stare budynki wspominają wiekową przeszłość dziejową.

Ale za to w obrębie murów starego miasta nie wolno wznosić nowego budynku, a gdy już do tego kroku zmusza konieczność, nowy budynek musi być zastosowanym do otoczenia.

Podobnie jest i w małej mieścinie Rothenburgu, która swój pierwotny charakter, mimo klęsk, jakie nań spadły w wojnie 30-letniej, zachować potrafiła, i która co roku do 30.000 turystów gości w swych murach pełnych uroku i tajemniczości. Tak postępuje zagranica i ludność kulturalna, a u nas? Zaczyna się coprawda budzić ruch obronny, a jednak burzymurki zbyt często tryumfują. Świetna rada wielkiego, stołecznego miasta Krakowa, jakby na urągowisko całemu światu kulturalnemu, prze z całej siły do zburzenia malowniczych budynków kościoła św. Idziego, położonego u stóp Wawelu, mimo protestu licznych Towarzystw kulturalnych, a nawet i samej centralnej komisji dla ochrony zabytków we Wiedniu.

W rynku krakowskim, który mimo tylu przeróbek, jako tako swój charakter zachował, powstaje nowy dom, którego fasada stoi w silnym kontraście do otoczenia. Kraków, który może być śmiało drugą Norymbergą i pod względem zabytków iść z nią w zawody, ściągając liczne rzesze turystów, z każdym dniem zatraca coraz bardziej swój charakter i swoją indywidualność.

Stara baszta prochowa we Lwowie stoi smutna, obdarta i opuszczona, a drzewa ją otaczające wyciągają błagalnie konary swoje do Rady miejskiej, aby raczyła jej pozwolić stanąć na nowo w swej okazałości.

Podobnych przykładów nieposzanowania dawnych pamiątek, rozmyślnego burzenia lub nieumiejętnych restauracji możnaby wiele przytoczyć. Nie można mieć nic przeciw temu, że staje się konieczną potrzeba zburzenia jakiegoś budynku, którego restauracja jest niemożliwą z powodu zniszczenia, ale miejsce jego powinien zająć gmach nowy, zastosowany swoim wyglądem do otoczenia. Tak jednak nie jest.

Modny architekt nie myśli się trudzić stworzeniem czegoś, coby zadość czyniło wymaganiom estetycznym.

W dawnych budowlach panuje logiczność i zewnętrzny ich wygląd idzie w parze z wewnętrznym podziałem i przeznaczeniem — harmonja form i szczegółów daje całość składną, zalecającą się oku, którą podnosi jeszcze efekt kolorystyczny. W nowych budowlach nie widzimy logiczności i konsekwentnego przeprowadzenia myśli i postulatów, do czego dany gmach ma służyć.

Architekt zadawalnia się tylko fasadą i na nią sili swoją inwencję, ale cel lub przeznaczenie jest na drugim planie.

Jako przykład można przytoczyć lwowskie Muzeum przemysłowe, które również może być przykładem jak gmachu, mającego służyć na pomieszczenie zbiorów, budować nie należy.

W omawianej książce radzi autorka wrócić do swojskiego budownictwa i z niego brać wzór i motyw, a unikać banalności i pretensjonalności. Okazuje na przykładach odpowiednich tak cenioną malowniczość okolic i budowli, a zaraz około nich daje odpowiednie ryciny, ilustrujące brzydotę lub zeszpecenie. Podobne kontrastowe obrazki spotykamy prawie na każdej stronie i szkoda że autorka jest zanadto delikatna i nie podkreśla wyraźnie gdzie się znajdują, czyją są własnością lub dziełem te, pełne niesmaku i brzydoty, utwory. Miałoby to może ten skutek, że unikanoby tych banalności, aby się na śmiech nie narazić, a na tem by tylko estetyka naszego kraju i miast naszych zyskać mogła. Oprócz kilku błędów, jak niedokładne numerowanie rycin, lub objaśnień niepewnych, oraz zbytniej skłonności do frazesów zaleca się ta książka wszystkim miłośnikom naszego kraju i jego estetycznego wyglądu.

Stanisław Zarewicz.

Archiwum czerwonodworskie.

Benedykt hr. Tyszkiewicz, dziedzic Czerwonego Dworu pod Kownem, posiadający w swej uroczej rezydencji archiwum, jedno z najbogatszych na Litwie, szczęśliwym trafem zdołał znakomicie je powiększyć, wcielając świeżo nabyte archiwum głośnej niegdyś na Litwie rodziny Zabiełłów.

Przez żadnego zgoła historyka dotychczas nie tknięte, przeleżawszy wiek cały w ukryciu, archiwum to zawiera około 20 tysięcy zabytków piśmiennych, przeważnie z wieku XVIII, i co najważniejsza, dotyczących głównie spraw polityczno-ekonomicznych pierwszorzędnego znaczenia.

Oprócz mnóstwa dokumentów, dotyczących sejmu, kościoła, wojska, skarbowości, znajdują się w niem całe teki gazetek pisanych, djarjuszów, pamiętników i t. p., nieoszacowanych rękopisów. Nie małej są również wagi własnoręczne skrypta kasztelana brzeskiego, znanego pamiętnikarza M. Matuszewicza, oraz głośnego statysty i posła, zwięźle a jasno poruszającego najrozmaitsze sprawy publiczne, Michała Zaleskiego.

Największe bogactwo tego zbioru stanowią listy (8 tysięcy z wieku XVIII. i bezmała 4 z pierwszej ćwierci wieku XIX., kreślone przez dostojników świeckich i duchownych, senatorów koronnych i litewskich, dworzan, posłów, ambasadorów, słowem ludzi, którzy w epoce sa-

skiej i Stanisława Augusta o dwór się ocierali i nieustannie z polityką mieli do czynienia; częstokroć natrafia się w nich na fakty nieznane, lub przez piszącego przedstawiane w całkowicie innem oświetleniu.

W dziale tym są całe pliki listów własnoręcznie kreślonych przez: Brzostowskich, Branickich, Czartoryskich, Chodkiewiczów, Jabłonowskich, Lubomirskich, Massalskich, Mniszchów, Ogińskich, Paców, Pociejów, Poniatowskich, Potockich, Radziwiłłów, Rzewuskich, Sapiehów, Sołtyków, Sołłohubów i t. d. Teki zawierające listy n. p. „ambasadorskie“, „militarne“, ojca jezuity, światłego Idzela (pseudonim Znajomski, nadsyłał Zabiełłom wiadomości z dworu drezdeńskiego), podskarbiego Tyzenhauza, Marcina Matuszewicza, Michała Zaleskiego, Kołłątaja, J. Kontryma, (sekretarza Kossakowskiego, biskupa inflanckiego) oraz tysiączne z sejmu wielkiego relacje, kreślone najczęściej sekretnem pismem (klucz dokładny znajduje się w tece) wprawną ręką bystrego obserwatora, jakim bezsprzecznie był szambelan i ulubieniec króla, Jerzy Zabiełło, bodaj, że dla historyka będą najciekawsze,

A i dla badacza literatury ojczystej poszukiwania w tej bogatej kopalni nie byłyby całkiem bezowocne. Są tu bowiem pełne teki kazań, przemówień, anegdot, są całe traktaty filozoficzne a już co najwięcej wierszy i wierszyków okolicznościowych, znanych i nieznanych poetów. Do tej ostatniej kategorji śmiało zaliczyć można tryskające francuskim dowcipem listy sekretarza Stanisława Augusta, Antoniego Kossakowskiego, mogącego iść w zawody z duchowo mu pokrewnym Kajetanem Węgierskim...

Mimochodem nie zawadzi jeszcze nadmienić i o tych kolejach, przez jakie archiwum to w ciągu wieku przeszło.

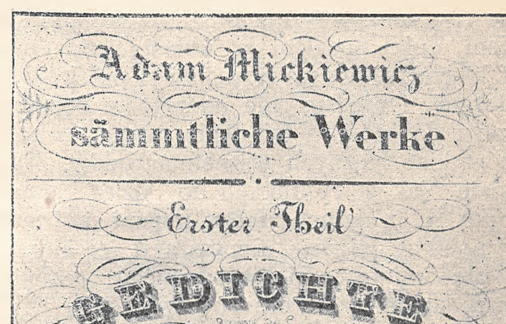
Wywiezione około roku 1815 przez Zabiełłów z Czerwonego Dworu, w chwili przejścia tej majętności we władanie Tyszkiewiczów, wkrótce było wniesione do domu ministra Stanisława Grabowskiego przez jego małżonkę, z domu Zabiełłową, w połowie zaś wieku zeszłego dostało się posiadanie dziedzica Warki i Pilicy w Grójeckiem, Prozora, żonatego ze słynną z urody swej, córką ministra, Marją. Po rozbiciu materjalnem Prozorów, nabył je zamiłowany zbieracz zabytków tego rodzaju, z powołania medyk, który przez długie lata wszystkie wolniejsze od zajęć fachowych chwile poświęcając na uporządkowanie tego olbrymiego zbioru, na szczęście przed zgonem dopiął swego celu. Owocem żmudnej a wytrwałej pracy skromnego lekarza jest katalog wzorowo sporządzony, tudzież 50 jak najszczegółowszych skorowidzów.

Archiwum czerwonodworskie, dzięki nieustannym zabiegom teraźniejszego dziedzica, pieszczącego w swej duszy tradycje założyciela Muzeum w grodzie Gedymina, z każdym rokiem coraz bardziej wzrasta. W ostatnich czasach oprócz wielu pomniejszych nabytków, przyjąwszy przed pół rokiem w swe mury olbrzymie archiwum horodeńskie (10 pak dokumentów z 4-ch ostatnich stuleci), obecnie zaś szczęśliwym zbiegiem odzyskawszy Zabiełłowskie, słusznie i całkiem godnie, po nieświeskiem i szczorsowskiem, trzecie miejsce między archiwami prywatnemi zajęło na Litwie.

M. Federowski.

Adolf Menzel jako ilustrator Mickiewicza.

Przed paru laty, pod wrażeniem zgonu Adolfa Menzela, posłałem do jednego z najbardziej poważnych tygodników ówczesnych artykuł poświęcony twórczości i znaczeniu tego znakomitego artysty niemieckiego. Ku niemałemu zdziwieniu rękopism bardzo mi prędko został zwró-


Adam Mickiewicz
sämmtliche Werke.
Erster Theil.
Gedichte.
Aus dem Polnischen übertragen
von
Carl von Blankensee.
Berlin, 1836.
In der Sander'schen Buchhandlung.

Karta tytułowa poezji A. Mickiewicza w tłumaczeniu niemieckiem.

cony, choć redakcja tygodnika poprzednio sama się była upominała o odpowiedni nekrolog. Objaśniono mię przytem, że panegiryczny, pełny uwielbienia ton, w jakim artykuł był utrzymany, obraża najświętsze nasze uczucia narodowe, i że wobec podobnej oceny Menzela, chyba wypadałoby wyrzec się wielu drogich naszemu sercu grobów narodowych.

Argumentacja ta wprawiła mnie wprost w zdumienie, nie mogłem bowiem zrozumieć, co my Polacy właściwie mamy do zarzucenia niemieckiemu malarzowi i w czem ostatni tak boleśnie nas dotknął. Był co prawda historjografem Hohenzollernów, Prusakiem z pochodzenia i charakteru, ale na miano szowinisty nigdy chyba nie zasługiwał, a jakichkolwiek objawów hakatystycznych w długiem jego życiu doszukać się trudno. Królowie pruscy obsypywali go zaszczytami, był »persona grata« przy ich dworze, ale w utworach swych Menzel im nigdy nie kadził i wogóle nie miał nic wspólnego z tą specyficzną sztuką pruską, której Wilhelm II. jest inicjatorem i krzewicielem. Z całą mocą swego talentu Menzel zgłębił styl i charakter epoki Fryderyka II. i w sposób niezrównanie mistrzowski, piórkiem, ołówkiem lub pędzlem ją uplastycznił. Jednak w tym kierunku zawsze pozostawał objektywnym ilustratorem i nigdzie nie uderzył w bęben patrjotyczny, do którego tak lgnie pewna kategorja malarzów historycznych wszech narodów. Nawet tam, gdzie jak w rysunkach do dzieł i dziejów Fryderyka II., z natury rzeczy musiał potrącić o tematy polskie, nigdzie nie zatracił tej niezamąconej przedmiotowości wrodzonego realisty i artysty rodzajowego, która rodowód swój w prostej linji wiodła od Chodowieckiego. Zresztą wogóle nie znam żadnego utworu Menzela, który poza stroną czysto artystyczną samym ujęciem i traktowaniem tematu mógłby w duszy Polaka wywołać wrażenie w rodzaju tego, jakie pewnie niejeden Niemiec odbiera przed „Hołdem Pruskim“ lub „Grunwaldem“ Matejki. Odmienny bo zupełnie temperament naszego mistrza i jego psychika zawsze wybitnie podmiotowa zgoła inaczej się odbijały w obrazie historycznym. Wbrew masie szczegółów autentycznych, opartych na studjach mozolnych, większość płócien Matejki nie odzwierciedla ducha epoki i jej stylu, lecz tylko płomienną duszę artysty i jej wspaniałe widzenia przeszłości. Menzel wczuwał się w moment historyczny do zatraty swego ja, Matejko zaś naginał go do swego temperamentu artystycznego, do królewskości swej wyobraźni renesansowej. To też pierwszy przy całej swej niemieckości w takich razach zawsze prawie pozostaje kosmopolitą — obserwatorem i mimo czysto pruskich tematów, należał do bardzo niewielu artystów niemieckich, którzy wśród Francuzów prawdziwego doczekali się uznania.

Na tle tego zajścia osobistego, związanego niezbyt miłem wspomnieniem, podwójnie przyjemnie mi było natknąć się na pracę graficzną Adolfa Menzela, która treścią swą szczególny dla nas ma pociąg. Jest to frontispiece i karta tytułowa do pierwszego tomu poezji Adama Mickiewicza, wydanych w r. 1836 w tłómaczeniu niemieckim Karola von Blankensee przez księgarnię Nauk'a w Berlinie. Obie kartki, wielkości dużej szesnastki, odbite są na kamieniu litograficznym, przyczem frontispiece nosi wyraźny, całkowity podpis Menzela. Co zaś do karty tytułowej, to tekst według zwyczaju, wykonany



Ilustracja do »Dziadów« A. Mickiewicza
(*sztych A. Menzela*).

przez litografa zawodowego, który się też uwiecznił napisem „Steindr. v. M. Weiger“, ale portrecik Mickiewicza bezwątpienia jest również dziełem Menzela, gdyż jak na rękę średniego litografa stanowczo zbyt artystyczny nosi charakter i zupełnie wolny jest od owej suchej kaligrafii podobnych prac zawodowych. Dogerloh, autor najbardziej kompletnego katalogu prac graficznych Menzela, też nie wątpi o autorstwie artysty i karta tytułowa we wspomnianym katalogu figuruje obok frontispiece'u pod Nr. 164.

Pod względem artystycznym rysunki te młodziutkiego, bo dopiero 21 letniego Menzela zbyt wielkiej nie posiadają wartości i nie mogą oczywiście dorównać późniejszym jego pracom z wieku bardziej dojrzałego. Frontispiece ułożony jest

na modłę winiet epoki romantycznej, których typ w rozmaitych odmianach utrzymał się wśród naszych rysowników prawie aż do końca wieku zeszłego. Środek kompozycji zapełnia guślarz, bardziej co prawda podobny do jakiegoś zachodniego barda, wśród gęstego lasu, a nad nim widnieje postać z poezji Mickiewiczowskich z dumnym Krzyżakiem na czele, w konturach trochę szkicowych, ale już wprawną ręką na papier rzuconych. W portreciku naszego wieszcza dopatrzyć się można pewnych cech podobieństwa, w braku jednak pełnej ikonografji Adama, trudno mi orzec, na zasadzie której ze znanych jego podobizn został wykonany.

Gwoli ciekawości dodam jeszcze, że egzemplarz z temi dwiema rycinami Menzela na jednej z przeszłorocznych licytacji bibliofilskich w Berlinie osiągnął cenę trzydziestu kilku rubli.

Paweł Ettinger.

Pamięci Marceliny Kulikowskiej.

Jesteśmy młodzi a życie nam smutne
Dłoń lodowatą kładzie w skroń zbolałą.
Jesteśmy młodzi a życie okrutne
Jękiem okrzyku w duszy nam wezbrało.
Jesteśmy młodzi a ciężą nam lata,
Jadem goryczy usta nasze żarzą,
Śmierć — ukojenie dusze nasze brata,
I odchodzimy z uśmiechniętą twarzą.

ROMAN PELC.

Ze skrzynki cechowej.

Garść szczegółów do historji cechów w Polsce.

Rodzinne gniazdo Marcina Kromera, autora dzieła „O pochodzeniu i dziejach Polaków“, jest dziś podrzędnem, podgórskiem miasteczkiem*). Architektura Biecza średniowiecznego, otoczonego obronnym murem, biegnącym po linji elipsy i najeżonego kilkunastu basztami, jak to widoczne na rycinie w dziele Brauna*), zaginęła bezpowrotnie. Obraz dzisiejszy miasta, odpowiadający potrzebom i warunkom doby obecnej, daje tylko słabe pojęcie o tem, jakie życie tu wrzało, jakiem płynęło korytem. Biecz średniowieczny, z ruiną swych zamków, z zanikiem swych cechów, z ubożejącem rok rocznie mieszczaństwem — przeszedł w sferę historji i archeologji. Na rubieżach dawnej minionej świetności rozsiadło się życie nowe, wyrastać jęły nowe potrzeby, a zmienione stosunki polityczne, ekonomiczne i towarzyskie, nie mogły być bez wpływu na zwyczaje i całą kulturę ludności. W staroświeckich domach, zdobnych nierzadko attyką u szczytu, czaiły się jeszcze na początku ubiegłego stulecia widma dawniejszej zamożności, ślady zwyczajów i upodobań dawniejszych. Wśród szarej rzeszy odzianej już przeważnie w tandetne stroje z kramów żydowskich, błyskały jeszcze niekiedy złociste jedwabne pasy mieszczańskie, a jubki kobiet i czepce na głowach odbijały jak memento dawnych czasów od tła płytkich, kosmopolitycznych szablonów „nowej mody“. U poważniejszych rzemieślników stały po kątach małe lady cechowe, stare pamiątki, rzadko otwierane, toż smutne i opuszczone. Nie towarzyszą im głosy braci cechowej zgromadzonej na schadzce. W księgi w ich wnętrzu ukryte, nie notuje pisarz, ile wosku wpłacono do kaplicy, ile prochu na miasta obronę. Inne nastały czasy, miasta bronić nie trzeba, murów i baszt nie szukać! Toż smutne są i ciche... opuszczone stoją po kątach, pajęczyna spowite, małe... trumienki. Czasem rzemieślnik u którego są w depozycie otwiera je, wróciwszy w niedzielę ze starożytnej fary do domu. Wydobywa wówczas z wnętrza skrzynki pożółkłe papiery, znaki jakoweś, pieczęcie, czasem puhar szklany, co się wilkom zowie. Patrzy na to wszystko z naiwną ciekawością dzieciaka, goni okiem litery o kształtach dziwacznych, czyta co wyraźniejsze.

Tak było jeszcze w pierwszej połowie ubiegłego stulecia. Ale powoli i te ślady znikać poczęły. Nadchodziły coraz cięższe czasy. Samodzielność ekonomiczna mieszczan upadać poczęła, a do miasta jął się wciskać żywioł nowy, pokorny wprawdzie, upokarzany i upokarzać się dający, ale niemniej silny, ale zawsze zwycięski, żywioł żydowski. W krótkim czasie potrafił ująć i zmonopolizować dla siebie małomiasteczkowy, drobny handel. Jako rzemieślnik stał się żyd niebezpiecznym konkurentem mieszczanina bieckiego, dając wyrób lichszy, ale i tańszy. W ciężkiej walce o byt ulegli mieszczanie; wszystkie domy w rynku, a wiele w bocznych ulicach przeszło powoli w posiadanie żydowskie.

W takich ciężkich warunkach trudno wymagać od człowieka zgorzkniałego niepowodzeniem i ruiną majątkową, zadumy i kontemplacji wśród starych murów, pietyzmu dla tradycji. Siłą

*) Civitates orbis terrarum. Kolonia 1612.

faktu zniknąć musiały. Przepadły powoli złociste pasy wiązane, kapoty poważne, jubki i czepce u kobiet. Skrzynki cechowe na strych wyniesiono, gdzie niszczały dokumenta. Zabytki broni cechowej rdza żreć poczęła, poczem los, który zaciężył u nas na wszystkiem, rozprószył je bezpowrotnie i bez śladu po świecie. Z kątów dawnych domów mieszczańskich, czas i stosunki poczęły wypłaszać czające się blade widma lat minionych, aż ich wkrótce zupełnie nie stało.

*

Przetrwało to jeno i w części tylko, co z kamienia i cegieł wznosiły minione pokolenia. Budując na myśli miano nie lata, lecz wieki. Kielnią i młotem budowniczego kierowało natchnienie twórcze i moc. Toż po dziś dzień kąpie starożytna fara swe iglice w słońcu, po dziś dzień stoi szpital Jadwigi, choć w zmienionej nieco postaci, Kromerówka, jedna z baszt, kilka domów mieszczańskich i okazała, wyniosła wieża ratuszowa. Grubość jej murów trzech metrów dochodzi. Toteż burze i słoty, pociski nieprzyjaciela i płomień pożarów nierzadkich niczego jej uczynić nie mogły. Sterczy jak latarnia morska wśród bałwanów przeciwności, burz.

Jedne ozdoby zewnętrzne, rysunki i napisy na tynku a l s g r a f i t o zatarte i zniszczone, niewyraźne ślady zostawiły po sobie. Pożar w r. 1904 przylgnął płomieniem do wieży. Spłonął hełm na jej szczycie, wypaliły się belkowania i schody wewnątrz, ów szkielet wieży. Mury wznoszące się do wysokości przeszło pięćdziesięciu metrów zostały.

Ze świadków minionej doby, chwil wesela i dobrobytu, lub jęków i łez, pozostały na dziś te jedne budowlane zabytki. Przybyszowi, który stanął wśród nich wskrzeszają przeszłość. Ratusz, Kromerówka, domy staroświeckie i epitafia we farze wpośród których nie brakło mieszczańskich, stawiają przed oczy rozrost i siłę mieszczaństwa bieckiego, tego mieszczaństwa bujny, w krasę rozkwitu zasobny renesans. Już w końcu wieku XIV kwitło w Bieczu trzydzieści różnych rzemiosł*)

Z odrobiny zabytków cechowych, które wydarłem niechybnemu zniszczeniu, pragnę podać garść szczegółów, dotyczących historji cechów w Bieczu.

I. CECH TKACKI.

W r. 1557 stanął na ratuszu bieckim przed burmistrzem Ambrożym Sandeckim i radą „opatrzny i roztropny“ Jan Kaynderfer, cechmistrz, w otoczeniu starszyzny cechu tkackiego. Przedłożyli oni radzie projekt nowego statutu (dawny im „za nieszczęściem zgorzał“) i prosili o jego zatwierdzenie „aby w tym królewskiem mieście żyć mogli poczciwiej, z wielką sławą przed wszem stanem i ku pomnożeniu Cechu swego“ *). Statut ten rada biecka zatwierdziła, opatrzywszy go w podpisy swych członków i wycisnąwszy na nim swą pieczęć. Liczący 32 artykułów okazał się jednak z czasem niewystarczający.

W dwadzieścia osiem lat później w r. 1585 j a w i się znowu starszyzna cechowa przed burmistrzem Gabryelem Trąbeckim i rajcami, wskazuje na niektóre braki w statucie i żąda uzupełnień w ustawodawstwie dla siebie. Po rewizji statutu starego z przed lat 28 zatwierdza rada biecka statut nowy, obszerniejszy, bo liczący już 49 artykułów, na co sporządza dokładny i wierzytelny akt „ponieważ pamięć ludzka jest tak ułomna i słaba, że tylko te rzeczy od naruszenia mogą być wolne, które aktami, jako najwierniejszemi pamięci Stróżami obwarowane bywają“. Statut ten potwierdził w tymże roku (1585) król Stefan Batory w Proszowicach. Na podstawie tych dokumentów wytworzyć sobie można dość dokładny obraz stosunków w omawianym cechu. Bo kluczem dla rozwiązania pewnych zagadnień czy to społecznych, czy ekonomicznych w dawnych cechach, punktem zaczepienia dla studjów w tej dziedzinie są przedewszystkiem statuty, którymi się owe dawne c o u t u b e r n i a rządziły.

Statut tkaczy bieckich wymienia następujące stopnie w hierarchji cechowej: cechmistrz, magistrzy (mistrzowie, magistrowie), towarzysze starsi i towarzysze młodsi. Tych ostatnich zwano w innych cechach także r o b i e ń c a m i. Popychadłem wszystkich był uczeń. Musiał się on wysługiwać nietylko mistrzowi, ale i czeladnikom. Przepisy omawianego cechu polecają majstrom i starszym towarzyszom wszelkie występki uczniów „niestatkując uskramiać i skarać według swego rozsądku“. Łatwo przewidzieć, że skala środków dyscyplinarnego postępowania wobec uczniów nie była zbyt rozległa i „rozsądek“ doradzał zawsze jedno, a to użycie kańczuga. Posługiwano się też nim w wielu cechach, gdzie był znany jako „dobry obyczaj“.

Uczeń wstępujący na naukę do któregokolwiek z majstrów, dawał do cechu tkackiego tytułem j e d n a n i a 12 groszy. Po trzech latach wyzwalał go mistrz na czeladnika. W ciągu trzech lat nauki nie wolno mu było opuszczać warsztatu. Jeśli uciekł, tracił po sześciu tygodniach wszelkie prawa. Gdy się zgłosił po pewnym czasie do cechu syn marnotrawny, traktowano go jak nowicjusza. Składał powtórnie opłatę 12 groszy, poczem wracał do mistrza, od którego umknął i u niego naukę rozpoczynał na nowo.

Przy wyzwolinach musiał uczeń wyliczyć cztery grosze starszym towarzyszom, a grosz je-

*) Zob. Ulanowski: Księga sądowa miasta Biecza. A r c h i w. K o m i s y i p r a w a. A. U. 1897. i recenzja tejże publikacji zamieszczona przez Adama Chmiela w K w a r t a l n i k u h i s t o r y c z n y m z r. 1898 str. 909.

*) Przy wszystkich tekstach dosłownych użyłem pisowni zmodernizowanej. P. a.

den złożyć do skrzynki. Zwał się teraz towarzyszem młodszym. Zadaniem i powinnością jego było odbyć trzyletnią wędrówkę, praktykę jakby dziś powiedziano. Na starszych towarzyszy nakładał statut obowiązek spieszenia z pomocą wędrującej czeladzi, a to przez wyszukiwanie jej miejsca u któregoś z majstrów.

Po trzech latach „strawionych na robocie i ćwiczeniu tkackim" mógł zostać towarzysz magistrem. Musiał atoli być właścicielem dwojga krosien, sześciu grzebieni czyli bard, a do skarbu cechowego kładł 30 groszy polskich. Prócz tego dawał 4 funty wosku i achtel piwa.

Towarzyszowi zmieniającemu miejsce, nie wolno było tak długo odejść, dopóki zaczętej roboty nie skończył. Zabronione też ostro było poniedziałkowanie. W pierwszym dniu tygodnia robić musieli wszyscy, a wolni byli dopiero po dzwonieniu na wieczorne pacierze. Wyjątkowo jednak robiono czasem w poniedziałki znacznie dłużej; działo się to wtedy, jeśli w tygodniu przypadało święto uroczyste.

Wiadomo, że dawne cechy miały w części charakter bractw religijnych, a nawet instytucji humanitarnych. Obowiązki wobec Boga, wobec brata zmarłego, lub żyjącego, ale w chwilowym niedostatku i biedzie — normowały statuta. Statut tkaczy bieckich pozwala po śmierci magistra pozostałej wdowie prowadzić warstat.

Jak wszystkie cechy, tak i tkacki w Bieczu, otacza brata zmarłego czcią i miłością i baczy, by od przysługi ostatniej jaką jest odprowadzenie nieboszczyka na spoczynek wieczny, nikt się nie uchylił. Nikogo braknąć nie może nietylko na kondukcie, ale i na egzekwiach. Także na żałobnej mszy odprawianej co kwartał w kościele farnym musieli być wszyscy obecni. Do towarzyszy należało zapalanie i gaszenie świec w kościele. Powinność tę spełniali oni kolejno. Za niezapalenie świec ściągano grosz jeden, za niezgaszenie zaś tychże w oznaczonym czasie dwa grosze. Zdarzało się czasem, że na pogrzeb zmarłego brata wybiegali chłopcy a może i towarzysze z warsztatu w niezupełnym stroju. Gorszyło to starszych w cechu, a uważając że niekompletny strój taki dobry może i praktyczny w warsztacie, na pogrzebie nie licuje jednak z powagą chwili, zapisali w statucie taki paragraf: „Towarzyszowie na Mszę za zmarłych idący albo na kondukt zmarłego, spodnie powinni mieć na sobie pod karą jednego grosza".

Kontrola obyczajowa była w cechu tkackim dość szeroka, a kodeks moralny przewidywał rozmaite przekroczenia i kary za nie. Za kłótnię na schadzce cechowej karano funtem wosku, za zwady przy grze w karty ściągano od każdego grającego po 6 groszy. „Jeżeliby Magister Magistra publicznie albo prywatnie słowami nieuczciwemi nakarmił, gdy to rzeczywiście jemu będzie dowiedziono, dwiema fontami wosku z Cechu ma być skarany". Niedozwolone było także odmawianie czeladzi, jak i wszelkie kłótnie i bitki w gospodzie. Za niezapłacenie długu karano dwoma funtami wosku, przy obciążających zaś okolicznościach (gdy się oskarżony długu wypierał,) półkamieniem.

Zdarzało się często, zwłaszcza magistrom, jak to statut wyraźnie zaznacza, że zabawiając się na gospodzie i wypróżniwszy zupełnie kaletę, zastawiali szaty. Za taki nieprzystojny postępek kazano magistrom płacić pół kamienia, towarzyszom zaś 2 funty wosku.

Towarzyskiej ogłady, a nawet pewnych zasad parlamenteryzmu uczył następujący paragraf: „Towarzysz na schadzce sądowej mający mówić do Cechmistrza lub Starszych Cechowych, wprzód od Cechmistrza na to ma prosić o pozwolenie, i także chcący odchodzić ma tak w Tym o pozwolenie prosić starszego Magistra, a to pod karą jednego fontu Wosku".

Jeśli magistrowi „oczywistem świadectwem dowiedziono, że się niepoczciwie sprawuje, albo kogo ukrzywdził" — przestępstwo takie karano kamieniem wosku. W r. 1571 oskarżają tkacze biecey na ratuszu Jana Moledę, który wbrew ustawom prowadził się nieporządnie (inordinate se contra leges et statuta Contubernii gesserat)*). Musiał on niejedną karę do skrzynki cechowej zapłacić, ale widać trwał w swej nieuczciwości, kiedy spowodował na się oskarżenie ze strony cechmistrza i panów starszych, w którem to oskarżeniu zaznaczają, że „nie chcą i nie mogą go dłużej dla tych przyczyn tolerować w swym cechu". Panowie Rada załatwili polubownie tę sprawę. Jan Moleda w cechu pozostał, ale warunkowo. Rada bowiem orzekła, że gdyby się skargi nań powtórzyły i trzech ludzi wydało dlań nieprzychylne świadectwo, wówczas z cechu ma być wykluczony. Nadmienić zaś należy, że wykluczenie z cechu obok dyshonoru, jaki przynosiło, zagrażało banicie także ekonomicznie, bo jako nie należący do cechu nie mógł on skutecznie i spokojnie wykonywać rzemiosła, uważany za „sturarza" (fuszera).

W statutach tkaczy bieckich są naturalnie i ustawy, mające na oku obronę interesów rzemiosła i rzemieślników. Magister, przyjmujący robotę, tak się miał godzić co do zapłaty, „ażeby stąd i pożywienie i odzienie mógł mieć". Ludziom przejezdnym a choćby i czasowo w mieście osiadłym, nie wolno było wykupywać w mieście w dni powszednie przędziwa. Kupującym mogli tkacze towar odebrać, „to jednak będą powinni czynić z wiadomością i zezwoleniem Magistratu". Mieszkańcom Biecza jak i okolicy nie wolno było dawać przędziwa na zrobienie płótna „do odległych wsi", lecz do majstrów w mieście osiadłych i cechem objętych. Łamiący to prawo płacili magistratowi trzy grzywny.

To wyjednali i czynili tkacze dla siebie. Nie obojętnem im atoli było dobro konsumentów. „Z przędzy złej robiący płótno, powinien w Cechu

---

*) Wypisy z aktów konsularnych.

być karany fontem Wosku, gdyby zaś po troistem napomnieniu robić nie przestał płótna z takowej przędzy, powinien być stawionym przed Magistratem i od niego według swego rozsądku skarany“. Oznaczone były wymiary warstatu. Nie mógł być węższy jak na 7 ćwierci łokcia. Jakość grzebieni czyli bard określa statut słowami „winny być jak najcieńsze“. Płótno zrobione miało być znaczone gmerkiem majstra, który je wykonał. Pół kamienia wosku do cechu dawał ten, kto nie kończył zawartej roboty bez słusznej przyczyny. Ale najsroższą karę ściągał na się ów majster, który dane sobie przędziwo przemarnował lub użył na własną potrzebę. Wobec takiego jest cech bez litości, nazywa go owcą „smrodliwą“ i wyklucza na zawsze ze swego zgromadzenia. Ustęp ten (XXVII) brzmi: „Jeżeliby którykolwiek Magister (oczywistem świadectwem) dane sobie na zrobienie płótna od kogo przędziwo przez zbytek i niedostatek przemarnował, lub na swoją potrzebę nieprzystojnie obrócił, takowy gdy o taki występek oczywistem świadectwem będzie przekonany, jako owca smrodliwa z Cechu bez żadnego politowania ma być wyrzucony i więcej nigdy do Cechu nie ma być przypuszczony“. Wykroczeń takich dopuszczali się rzeczywiście niektórzy z tkaczy. Akta *) notują takie wypadki. W obecności starszyzny cechu oskarża w r. 1571 obywatel biecki Szymon Widanek tkacza Walentego Pazyrę z przedmieścia, że uchodząc z miasta zabrał mu tenże Pazyra nie tylko przędzę lecz także uiszczone z góry za robotę wynagrodzenie. W tymże roku zanosi również skargę „laboriosus“ Albertus Szanok „de Villa Woithowa“ na Jana Stauzlika, u którego przepadło mu nieco przędzy.

(D. n.) *Mieczysław Opałek.*

*) Konsularne.

Z Ksiąg pieśni Heinego.

Skra spada z wysokości,
Przecina światłem mrok—
Gwiazda to mojej miłości,
Za którą spada mój wzrok.

Padają z białej jabłoni
Liście, jak cichy żal—
Podmuch je po ziemi goni,
Ponosi w ciemną dal.

Dowiewa śpiew łabędzi
Z czarnych jeziornych błoń—
Coraz to ciszej gędzi,
Aż go pochłania toń.

Noc. Ni szelestu skargi
Liście pogonił wiew.
Gwiazda strzaskana w piargi.
Przebrzmiał łabędzi śpiew.

Władysław Orkan.

NOTATKI.

Z Kijowa. Z okazji pięćdziesięciolecia zgonu Tarasa Szewczenki, Muzeum miejskie w Kijowie urządza w lutym 1911 r. wystawę twórczości plastycznej pieśniarza ukraińskiego, dotychczas w całości małoznanej i ocenionej. Organizatorzy wystawy chcieliby dać możliwie pełny jej obraz i zwracają się do posiadaczy obrazów, akwarel, rysunków akwafort poety z usilną prośbą o łaskawe ich wypożyczenie. Po informacje zwrócić się należy do p. N. F. Bielaszewskiego, dyrektora kijowskiego muzeum.

W kołach miłośników sztuki dużo wrzawy narobiła sprawa przeniesienia wspaniałego nagrobka księcia Konstantego Ostrogskiego z Ławry do muzeum archeologicznego, tembardziej że iście barbarzyński projekt ten po części powstał w łonie kijowskiego towarzystwa ochrony zabytków historji i sztuki. Pomnik zmarłego w r. 1533. wojewody trockiego i hetmana W. ks. litewskiego wzniesiony był w r. 1579. sumptem jego syna, wojewody kijowskiego i marszałka ziemi Wołyńskiej i niewątpliwie stanowi jedno z najbardziej cennych dzieł sztuki, w Ławrze kijowskiej się znajdujących, gdzie tyle zabytków przeszłości niemiłosiernie niszczono i przerabiano. Od stulecia prawie piękny pomnik skryty jest przed oczyma zwiedzających Ławrę — władza duchowna podobno tłómaczy to obawą, że tłumy nabożnych pielgrzymów mogłyby uważać sarkofag księcia Ostrogskiego za trumnę świętego i dlatego podtrzymuje myśl przeniesienia całego nagrobka! — choć już w r. 1843 Mikołaj I. wskutek prośby znanego badacza sztuki, Sołncewa, wydał rozkaz by pomnik znowu uczynić widocznym. Nie mówiąc już o braku pietyzmu dla tak cennego zabytku przeszłości, przeniesienie nagrobka niewątpliwie równałoby się jego uszkodzeniu, gdyż przeniesionym mógłby być tylko sarkofag z figurą księcia, wzorowaną może na analogicznych postaciach kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu, przebogata zaś dekoracja stiukowa w stylu barokowym z pewnością uległaby zniszczeniu. Dzięki wmieszaniu się w tę sprawę hrabiny Uwarowowej, prezesa moskiewskiego towarzystwa arceheologicznegoti rzeczowemu zbadaniu stanu nagrobka przez architekta Pokryszkina, pomnik księcia Ostrogskiego nadal pozostanie w Ławrze. Dla zabezpieczenia go od możliwych uszkodzeń ma służyć ogromna klatka szklana, która cały pokryje nagrobek. *P. E.*

Z Drukarni Polskiej. Nakładem „Kurjera Lwowskiego.